

Wojciech Stanisławski: *Lacrimae rerum sovieticarum*

„Rok komety” to najmniej powieściowa z książek Siergieja Lebiediewa – i najbardziej systematyczna prezentacja jego narzędzi odczytywania świata.

Kto pamięta podróż głównego bohatera w „Granicy zapomnienia”, przypominającą trochę wędrówkę Marlowa w górę Konga, będzie miał prawo poczuć przez chwilę rozczerowanie. Podobnie zresztą jak ci czytelnicy, którzy przywiązali się do kalejdoskopu krajobrazów w „Ludziach sierpnia”, do rosnącego wykładniczo napięcia w „Debiutancie”. Opowieść narratora „Roku komety”, choć nie brakuje w niej zwrotów, tragedii i odkryć, toczy się zdecydowanie wolniej, brak też w niej jednego, dramatycznego przesilenia. To pamiętnik z okresu dojrzewania, a właściwie – zapis zdobywania dorosłej świadomości. Gromadzenia wiedzy (z początku – jedynie przeczuć, pogłosek, plotek) o tragicznej przeszłości Związku Sowieckiego, a równoległe z tym – pozyskiwania narzędzi rozumienia świata.

Narrator, wspominający swoją adolescencję w latach 80. ma, jak słusznie zauważył wydawca, wiele wspólnego z bohaterem „Granicy zapomnienia”, obaj też bardzo są bliscy temu, co wiemy o biografii autora. To podobieństwo dwóch dzieł jest tym bardziej zrozumiałe, jeśli zważyć, że „Rok komety” jest drugą powieścią Lebiediewa, opublikowaną w cztery lata po „Granicy zapomnienia” (wyd. oryginalne

w 2010, polski przekład – w 2018). Warto pamiętać, że autor przeszedł od tamtego czasu długą drogę – i że wydaną właśnie w Polsce książkę można postrzegać jako komentarz czy pogłębienie wizji, która poraża każdego czytelnika „Granicy...”: Rosji spętanej swoją przeszłością, rosnącej na wiecznej zmarzlinie masowych grobów, i rodzin wyrastających z zaślubin ofiar i oprawców.

Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego

Czy mogę sobie wyobrazić „Rok komety” jako esej pozbawiony fabuły, systematyczną opowieść o dorastaniu Lebediewa do ogarnięcia rozumem i wyobraźnią katastrofy rosyjskiego XX wieku? Tak, jak najbardziej. Czy książka zyskałaby na tym? Niekoniecznie.

Narrator, urodzony w dniu słynnego trzęsienia ziemi w Rumunii 4 marca 1977 („trzęsienie ziemi stało się pierwszym doświadczeniem mojego istnienia: świat otworzył się przede mną jako niestabilność, chwiejność, wahanie podstaw”) dojrzewa w szybkim tempie – rozstajemy się z nim w dniach puczu Janajewa (sierpień 1991). Po drodze czeka go odczarowanie – zrozumienie nieszczęść, jakie spotkały jego rodzinę, rozpoznawanie znaczeń i proroctw, które kryją się w kształcie przedmiotów, relacji między nimi, w zachowaniach najbliższych. W tle zaś – niepostrzeżenie i bezgłośnie, jak na filmie pozbawionym fonii, słabnie i rozsypuje się Związek Sowiecki.

Świetne jest to zestrzelenie „dorastania w rozpadzie” (wiele mogliby o nim opowiedzieć również polscy pięćdziesięciolatekowie, zmierzający ku dorosłości w dekadzie jaruzelskiej). Już sam obraz sowieckich lat 80. jest dużo wart, bo podobnych niewiele mamy w dostępnej w Polsce

literaturze rosyjskiej. To, co do nas dotarło, to „proza pierestrojkowa” (fabularna lub wspomnieniowa): bardzo upolityczniona (choć polityczność tę traktująca mocno doraźnie), pisana najczęściej przez młodych dysydentów. „Rok komety” pisany jest z perspektywy chłopca, krögerowskiego samotnego jedynaka (perspektywy dobrze rozumianej przez Lebidiewa) pokazuje nieironicznie breżniewowską stabilność i jej konsekwencje: zastój – ale też wyprane z wszelkich prometeizmów rewolucji poczucie bezpieczeństwa i niezmienności. Nie przypadkiem, myślę, lecz z woli autora pierwsze rozdziały powieści tak podobne są do wielu literackich opisów innych Rosji: też spokojnych, nieszczęśliwych i biernych, z lat 30. czy 90. XIX wieku: „Kaloryfery przykryte kocami i kartonami oddychały gorącą sierścią (...), w końcówce mroźnego dnia uważność (...) rozpływała się, miejsce szkolnego porządku zajmowały znużenie, zmęczenie bieganiem po lekcjach i przezroczysty, odcedzony smutek”. Tak to ta Rosja, znana nam z nowel Czechowa i dawniej jeszcze, z obrazu znieruchomiłego Obłomowa: „Pożyjemy i umrzemy, nie usłyszysz o nas świat...”.

Trzeba było talentu Lebidiewa, żeby w ten obraz milczącego, wycofanego, mieszczańskiego świata drobnymi, homeopatycznymi dawkami wsączać zapowiedzi rozpadu: poprzez nasłuchiwanie, czy nie trzeszczy lód wielkiej kry, poprzez obrazy szkolnych zbiorów złomu („raz w semestrze wszystkie klasy udawały się na poszukiwania w najbliższej okolicy porzuconych wyrobów z metalu; zawsze coś znajdowaliśmy, mimo że kilka miesięcy wcześniej można było odnieść wrażenie, że cała okolica została już wyczyszczona (...). Ale żelastwo skądś się pojawiało, jakby jakiś ogromny mechanizm rozpadał się sam z siebie podczas pracy i z jego wnętrza wypadały nakrętki, tarcze, koła zębate sprężyny”). Aż po obrazek – na pozór – reportersko-obyczajowy: „Ze sklepów z artykułami gospodarczymi i budowlanymi zaczęły znikać

ostatnie towary. W pierwszej kolejności to, co powinno łączyć, czyli gwoździe, wkręty, drut, cement, klej, bez których deski i cegły stają się bezużyteczne, tracą rację bytu”.

Dopiero w drugiej połowie książki (i, jak się można domyśleć, w drugiej połowie lat 80.) rozpad stanie się widoczny już nie na poziomie omenów, lecz faktów: w podmoskiewskim, sielankowym daczowisku pojawią się *ludzie nowi*, bandyci i dezercerzy z armii; pokolenie dziadków, wychowanków Stalina stanie się, wraz ze swoimi ubogimi symbolami statusu, stare, chore i śmieszne. Bohater zaś powieści w zwyczajowym u Lebediewa, pospolitym, „chłopackim” trybie – dłuższy spacer w pobliżu podmoskiewskiego pensjonatu, podsłuchana rozmowa babci z jej przyjacielem – trafia na ślady wielkich sowieckich zbrodni: pola kaźni w podmoskiewskiej Kommunarce, Hołodomoru. I rysuje, bez uciekania się do banalnych narzędzi rodem z horrorów sceny, od których już się nie uwolnimy. Sądziłem, że jeśli idzie o Hołodomor nie przeczytam nic bardziej poruszającego niż kilka zdań opisujących stłuczenie butelki z mlekiem w jednym z opowiadań Władimira Tendriakowa. Ale może się z nimi równać scena pożerania trujących kiści kwitnącej akacji w osadzie, w której ludzie zjedli już z głodu trawę. A w dodatku ten obraz uczt („Jedli, resztką sił naginając gałęzie ku ziemi. W środku niektórych kwiatów były robaczki, kwaśne, chrupiące żuczki, które też jedli” (...). a dzieci „czołgały się pod nogami, zlizując z ziemi zakurzone kwiaty akacji”) – czy tylko mnie, za sprawą żuczków i dzieci, rymuje się z najbardziej wstrząsającą sceną „Doktora Faustusa”?

Stylometry, którzy wezmą się kiedyś za prozę Lebediewa, potwierdzą nagromadzenie fraz, które jako czytelnik wynotowuję z kolejnych akapitów: „Jakby”. „Przypomniało mi się”. „Podpowiadał mi”. „Czułem niewidzialną obecność”. „Zwidywało mi się coś, co przypominało...”.

Świat, w którym poruszają się bohaterowie Lebediewa to świat polisemii, przesycony znaczeniami, które czekają na odkrycie: świat niepokojący, zdeterminowany, chwilami niepokojąco bliski prowadzącemu na manowce myśleniu paranoidalnym, tropiącemu sensory i wskazówki w najprostszych, codziennych zjawiskach. Różnica w tym leży, że myślenie paranoidalne prowadzi ku obłędowi, gdy bohaterowie Lebediewa ze **znaków** – orderów, tomów encyklopedii, ceramicznych figurek, wypowiedzianych przez dorosłych słów czy fraz – docierają do prawdy.

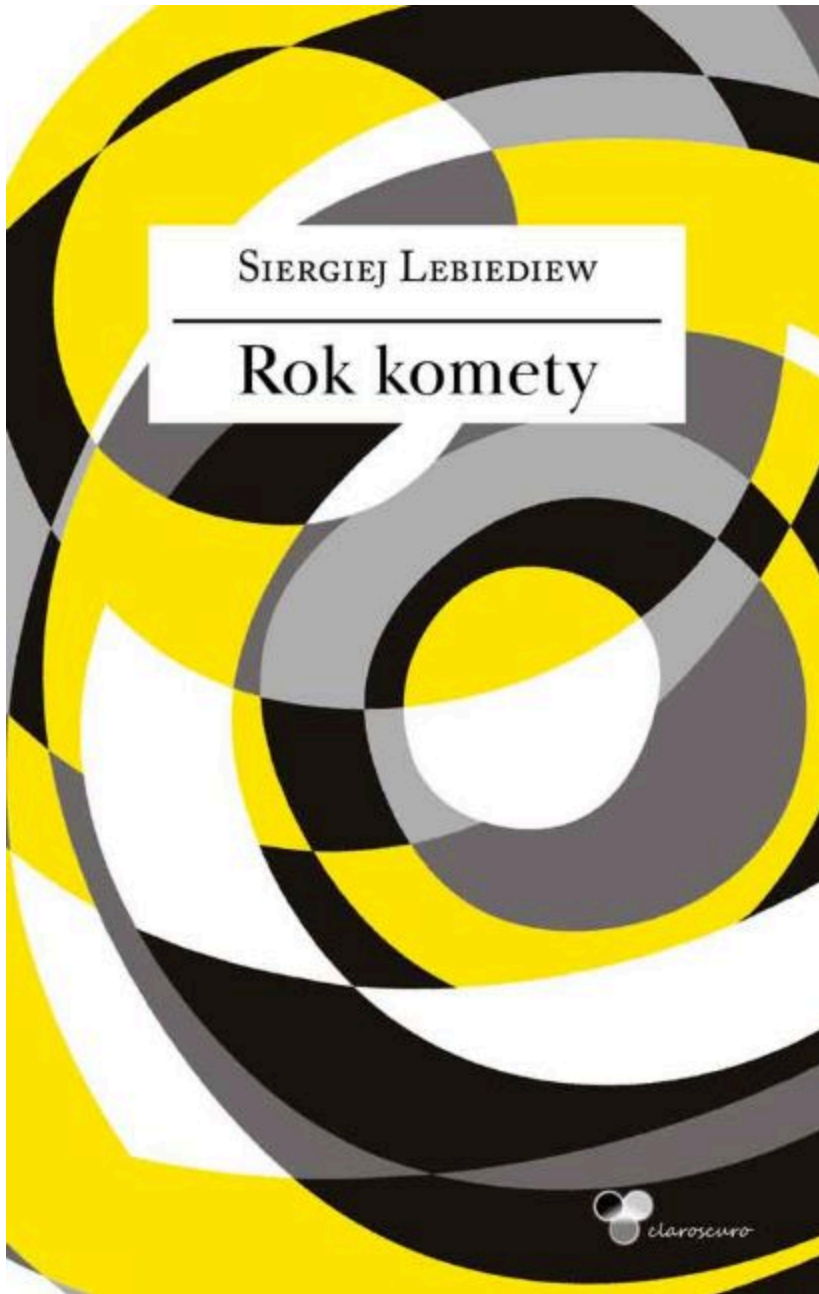
Przeczytaj również: Baśń o zbrodni – recenzja *Białej Pani* Siergieja Lebediewa

Czasem wędrują odrobinę na skróty: pisałem już, przy okazji poprzednich jego powieści, o obecnych tam nawiązaniach do ustawień hellingerowskich. W „Roku komety” przywołane one zostały wprost, z użyciem terminologii swoistej dla tej pachnącej trochę siarką terapii: pojawiają się „pola” i „dynamiki”, czytamy, że „wraz z narodzinami dziecka odżywa rodzinne fatum, przechodzą do działania jego siły przesunięte w czasie”. Nie jest to jedyne niefortunne zdanie, kilka innych wydało mi się zbyt kanciaste nie tylko na powieść, ale i na esej („potencjał ugody [rodziny] jest niższy niż złożoność społeczno-historycznej konfiguracji, która jest na nią projektowana”). Nadal jednak pozostaję pod wrażeniem kreowanej w tych rzeczywistości, w której zachowuje znaczenie moc tak wyśmiana jak *fatum*, w którym silne więzy łączą losy ludzi i przedmiotów, w której namysł i skupienie pozwalają dostrzec sens minionych zdarzeń, ich przyczyny i sprawców. Niezależnie od tego, jak tragiczna jest poznawana w ten sposób przeszłość, takie rozumienie świata zakłada jego poznawalność i

sensowność, rzuca wyzwanie popkulturowej, przekraczającej granice języków, państw i systemów wizji życia jako błahaego, niepotrzebnego chaosu.

Pokłady znaczeń „zaszyte” w otaczającej rzeczywistości są dla uniwersum Lebidiewa jak równania kwantowe, jak zestaw podstawowych praw fizyki, którymi stoi jego świat. Ale są wyprowadzane w kredowym kredy równania i są protuberancje słoneczne, jarzące się izotopy, wiry galaktyk – wielkie, czasem okrutne piękno, dostępne astronomom i fizykom. Podobne bywają obrazy kreowane przez Lebidiewa, straszne i piękne, tworzące najwyższej klasy literaturę: ten końcowy, żelaznego pociągu komunizmu, którym pędzą ofiary i męczennicy rewolucji i wojny domowej ze swymi *arma martyrii*, nagromadzenie potworności – i ten błahy na pozór: „Staruszka rozkładała gazetę i unosiła ją, zasłaniając twarz, a ze stron gazety wypadały na podłogę tłuste, czarne litery-karaluchy. Znałem te czarne karaluchy, nie można ich było wyplenić w całym pionie – a teraz zobaczyłem, jak wychodziły spod sterty gazet w mieszkaniu staruszki, i niczym jej szpicle, informatorzy, niczym szpiedzy przedostawały się przez otwory wentylacyjne; już wiedziałem, kto wysyła na wszystkich sąsiadów anonimy na milicję”.

Wojciech Stanisławski



**Siergiej Lebiediew, *Rok komety*, przeł. Grzegorz Szymczak,
Wydawnictwo Claroscuro, 2026**

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze recenzje**